Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie
1 I Now/1958
009-0012461--00

Dodatek społeczno-kulturalny „Nowin Rzeszowskich"

Nr 1 (394) — SOBOTA 4. I. 1958 r.

HENRYK KOTWICA — AUTOPORTRET

HENRYK KOTWICA — MARYSIA (olej)

O OCHRONIE ZABYTKÓW ARCHEOLOGICZNYCH W WOJEWÓDZTWIE RZESZOWSKIM

DZIEJE spisane, zwane historią, poprzedza bardzo długi okres istnienia człowieka, zwany do niedawna prehistorią, obecnie zaś pradziejami. Czasami tymi zajmuje się nauka pokrewna historii — archeologia. Ze względu na brak źródeł pisanych, archeologia bada rozwój społeczeństwa ludzkiego we wszystkich przejawach jego życia, na podstawie zachowanych śladów działalności ludzkiej. Śladami tymi są zabytki — przedmioty wykonane kiedyś przez człowieka, używane przez niego, lub też mające z nim jakikolwiek związek. Zabytki archeologiczne z chwilą odkrycia stają się źródłami naukowymi, pouczającymi nas o życiu człowieka, z którym kiedyś były związane. Zabytki te dzielimy na dwie grupy: ruchome i nieruchome. Do pierwszej zaliczać będziemy przedmioty nie związane zbyt silnie z podłożem, a więc przede wszystkim narzędzia, broń, naczynia, ozdoby itp. Do grupy drugiej należeć będą zabytki ściśle związane z podłożem, a więc osady otwarte, obronne zwane grodziskami, cmentarzyska, budowle i miejsca kultowe, drogi, mosty itp. Miejsce odkrycia zabytku zwie się stanowiskiem archeologicznym. W obrębie naszego województwa stanowisk takich znamy ponad pół tysiąca. Jest to ilość znikoma w porównaniu z tą, jaką dotąd kryje jeszcze ziemia.

Cały szereg problemów, dotyczących pradziejów naszego terenu jest jeszcze do rozstrzygnięcia, niemniej jednak na podstawie dotychczasowego stanu badań dość dużo można na ten temat powiedzieć. Poświęcę temu chociaż parę zdań.

Najstarsze ślady pobytu człowieka w Rzeszowskiem stwierdzono w Przemyślu. Przed kilkunastu laty odkryto tam na brzegu Sanu osadę ludzką ze starszej epoki kamiennej — paleolitu, z okresu tzw. oryniackiego, czyli sprzed około 100.000 lat temu. Mieszkańcy tej osady wiedli bardzo prymitywny tryb życia. Gospodarka, jaką prowadzili, zwana zbieracko - łowiecką, polegała na wykorzystywaniu dla życia gotowych płodów przyrody. Osada ta jest jedną z najstarszych w Polsce.

Z młodszej epoki kamiennej — neolitu, przypadającej na lata 2500—1700 p. n. e., znamy cały szereg stanowisk, których liczba wynosi od kilkunastu do kilkudziesięciu na powiat. Człowiek w tym czasie żyje na o wiele wyższym poziomie niż w paleolicie. Technika obróbki krzemienia dochodzi wprost do szczytu, występuje szereg umiejętności dotąd nie znanych jak uprawa roli, lepienie naczyń z gliny. Tereny nasze zamieszkiwały wówczas ludy: kultura ceramiki wstęgowej, kultura ceramiki sznurowej oraz kultura pucharów lejowatych.

Pod pojęciem kultura, w sensie archeologicznym rozumie się zespół pewnych cech materialnego i duchowego życia pewnej grupy ludzi. Grupa ta jest często równocześnie grupą etniczną. Ponieważ nie jesteśmy w stanie ludom pradziejowym nadawać nazw etnicznych, tedy nadajemy im od pewnych typowych form kulturowych. I tak np. nazwa: kultura ceramiki sznurowej pochodzi od ornamentu powstałego w wyniku odcisku sznura, którym z reguły ludność ta zdobiła naczynia. Czasem nazwy ludom nadaje się od nazw miejscowości, w których odkryto pierwsze typowe dla tych ludów stanowiska. Występowanie pewnych typów zabytków na określonych terenach pozwala nam na uchwycenie zasięgu

Naczynie grupy tarnobrzeskiej kultury łużyckiej.

ludu, który tych typów używał, w pewnym określonym odcinku czasu.

W epoce brązu, trwającej w latach 1700—700 p. n. e., najpotężniejszym ludem, zajmującym tereny Polski, była kultura łużycka. Nazwa jej pochodzi od Łużyc, gdzie odkryto pierwsze jej stanowiska. W województwie rzeszowskim największe skupienie stanowisk tej kultury mamy w okolicach Tarnobrzega, w widłach Wisły i Sanu. Na terenie Polski kultura łużycka rozpadała się na kilka grup lokalnych, z których jedną jest grupa tarnobrzeska. Bardzo ciekawym zjawiskiem dla ludności łużyckiej był zwyczaj palenia zwłok po śmierci zmarłego. Resztki kości zbierano do naczyń, które dziś zwiemy urnami i składano na cmentarzyskach, liczących często nawet do tysiąca grobów. W okolicach Tarnobrzega spotyka się nawet po kilka cmentarzysk w obrębie jednej wioski.

Na terenie południowej Polski kultura łużycka zanika około 400 r. p. n. e. Zanikają jedynie formy kultury materialnej, ludność natomiast według opinii większości uczonych przetrwała, mając w czasach późniejszych dać początek Słowianom. Następne ludy, kultury epoki żelaznej: kultura grobów jamowych i kultura przeworska, są najprawdopodobniej przodkami kultury łużyckiej. Ludność tych kultur najprawdopodobniej w okresie tzw. wczesnośredniowiecznym, weszła w skład plemion prapolskich. Są to czasy pogranicza pradziejów i historii. W sensie archeologicznym okres ten jest najlepiej znany z osad obronnych — grodzisk. W województwie naszym odkryto ich dotąd kilkadziesiąt.

Pradzieje są nie tylko bardzo długim, lecz i niezmiernie ciekawym okresem w życiu człowieka na ziemi. To, co o nich dotąd wiemy, jest tylko cząstką tego, co powinniśmy i co możemy wiedzieć. Cały szereg zabytków w dalszym ciągu znajduje się jeszcze w ziemi. Dostępnymi do studiów i opracowań staną się one dopiero z chwilą metodycznego odkrycia. Należy raz jeszcze podkreślić wyrażenie „metodycznego odkrycia", bowiem rozkopywanie stanowisk archeologicznych przez ludzi nie posiadających specjalnego przygotowania do tego, nie tylko nie przynosi nauce pożytku, lecz zawsze wielkie straty. Często zdarza się, że stanowiska archeologiczne niszczone zostają przez „poszukiwaczy złota" — których na końcu spotyka oczywiście zawód. Złoto jest jednym z metali najpóźniej poznanych przez człowieka, czas znajomości jego przez człowieka jest bardzo krótki w porównaniu z czasem istnienia człowieka, więc jest naprawdę minimalne prawdopodobieństwo natrafienia nań w ten sposób. Jeśli się słyszy czasem, że gdzieś odkryto „skarb" to rozumie się wówczas pod tym pojęciem nie skarb złoty czy srebrny, lecz po prostu zespół przedmiotów, które w danym czasie mogły przedstawiać dużą wartość. Znane są więc skarby nawet kamienne. Tak więc skarby w sensie archeologicznym nie mają dziś żadnej wartości materialnej, a posiadają tylko wartość naukową. Zabytki wydobyte z ziemi przez amatora, chociażby były złożone do muzeum, nie mają tak wielkiej wartości naukowej jak gdyby uzyskane zostały w czasie metodycznie przeprowadzonych prac wykopaliskowych.

Zapinka żelazna — tzw. fibula z II w. n. e. z Zakrzowa w pow. tarnobrzeskim.

Wspomniałem o szkodliwej roli „poszukiwaczy złota" czy też fałszywych miłośników archeologii, niszczących często nieświadomie zabytki. Osoby takie mogą nauce oddać wielkie usługi, wprawdzie nie poprzez samowolne rozkopywanie obiektów archeologicznych, lecz poprzez informowanie odpowiednich władz i instytucji o poczynionych przez siebie odkryciach.

Większość odkryć archeologicznych dokonano przypadkowo, a znajomość ich zawdzięczamy uprzejmości odkrywców, takich jak kierownik Szkoły Podstawowej w Hussowie (pow, Łańcut) — P. I. Błaszkiewicz, F. i S. Uchmanowie z Kraczkowej (pow. Łańcut) i szeregu innych, których przecież wszystkich trudno wymienić. Dalsze informacje o odkryciach prosimy przesyłać na adres: Konserwator Zabytków Archeologicznych woj. rzeszowskiego — Muzeum Okręgowe, Rzeszów, ul. 3 Maja 19, tel. 19-78.

Z przypadkowym odkryciem możemy zetknąć się na każdym kroku. Następuje to najczęściej przy pracach ziemnych. Człowiek pradziejowy najchętniej zamieszkiwał miejsca wyżej położone, wzgórza, wydmy piaszczyste, brzegi i widły rzek. Tam też najłatwiej natrafić na jego ślady. Stanowisko archeologiczne poznamy po rozrzuconych na powierzchni fragmentach naczyń, czasem zupełnie drobnych, potłuczonych skorup, kości, krzemiennych czy metalowych narzędzi itp. Stanowiska te bywają zwykle w mniejszym lub większym stopniu zniszczone, co u odkrywców budzi wątpliwość w ich przydatność naukową i by nie ośmieszyć się, nigdzie nie zgłaszają odkrycia. Jest to bardzo niesłuszne podejście. Każde nowo odkryte stanowisko, chociażby ograniczało się do rejestracji kilku skorup, pochodzących z jednego z okresów pradziejowych, jest przyczynkiem do poznania naszych najstarszych dziejów.

mgr KAZIMIERZ MOSKWA

Z Wystawy Amatorów Plastyków w Tarnobrzegu

W DNIACH od 14 do 28 grudnia ub. r. czynna była w tarnobrzeskim Powiatowym Domu Kultury „Wystawa Plastyków Amatorów", druga już z kolei tego rodzaju wystawa. Zorganizowano ją z inicjatywy oddziału kultury PRN i Pow. Domu Kultury. Na wystawie zgromadzono dorobek 11 plastyków - amatorów, spośród których na szczególne wyróżnienie zasługują prace Henryka Kotwicy i Mariana Przybylskiego.

Wydział Kultury Prezydium WRN przyznał trzy nagrody, które otrzymali Henryk Kotwica — pracownik PZZ w Tarnobrzegu, Marian Przybylski — nauczyciel miejscowego Liceum Ogólnokształcącego oraz Mieczysław Sawarski — nauczyciel Technikum Hodowlanego w Dzikowie.

Wystawa cieszyła się w Tarnobrzegu bardzo dużym zainteresowaniem.

Tekst i foto:
MACIEJ SKOWROŃSKI

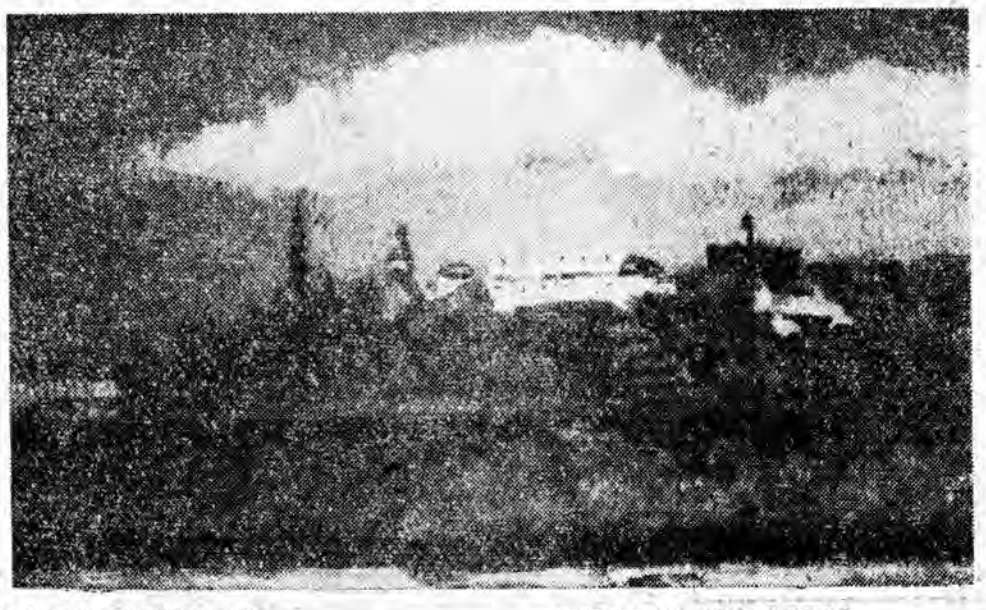

MARIAN PRZYBYLSKI — WIDOK NA SANDOMIERZ

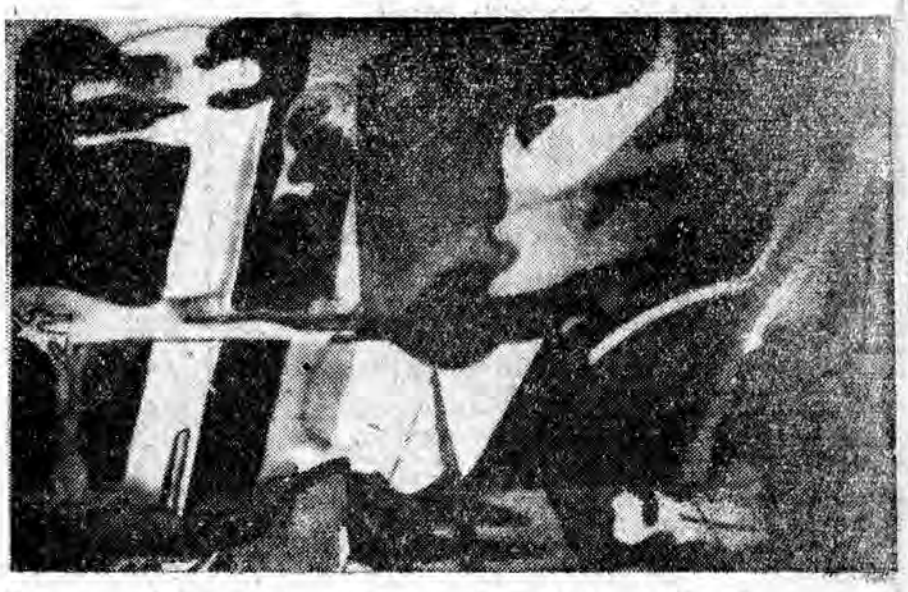

MARIAN PRZYBYLSKI — KOMPOZYCJA

JOTGIEL

Felieton niewesoły

ROZMOWY świąteczne, kawiarniane, podróżne... długie nocne rodaków rozmowy. Z jakim przerażeniem was często słuchałem, jak mi po was ciężko było na duszy... Jakież to bowiem tęsknoty, jakie marzenia i upodobania wyrażali w nich robotnik i dziennikarz, analfabetka i intelektualistka?

Jedni bili czołem przed szwedzkimi żyletkami i modlili się do angielskich wiecznych piór. Innych ponosił zachwyt nad amerykańskimi lodówkami, gumą do żucia (że to tak zdrowo) i pastą „Kiwi". Wychwalano niemiecką gospodarność, angielskie obyczaje, skandynawską uczciwość, izraelskie kibuce i murzyński folklor. Urzędnik, który w swych podróżach dotarł najdalej do Radomia opisywał mi szczegółowo urządzenie domu w Kanadzie (że wszystko automatyczne) a ciocia z Tarnowa rozprawiała o lokalach nocnych w Paryżu. Biedni ludzie — myślałem wtedy — jakiego to dziwnego Godota, sobie wytworzyli i z jaką tęsknotą na niego czekają. To przecież jakaś nowa religia, w której symbolem kultu jest kawałek amerykańskiego ciucha lub angielski aparat do golenia oglądany z szacunkiem przez nabożnych.

Zacząłem wśród nich rozpoznawać tych którzy wysyłali za granicę błagalne rozpaczliwe listy z prośbą o ubrania, lekarstwa czy samochody, gdyż żyją w nędzy. Tak pewnie pisała ta znajoma z kawiarni, która handluje lekarstwami, ten urzędnik, który kończy budować dom... Człowiek naprawdę biedny wstydzi się wyciągać rękę po datek — ci zaś tanio sprzedali swoją godność osobistą.

Byłem często przybity pogardą wielu moich rozmówców dla własnego kraju, dla wszystkiego co polskie. Jak natrętny refren wracało w tych rozmowach rezolutne pytanie — a u nas? — połączone z lekceważącym gestem. I znów w koło — „Bo widzi Pan, mój znajomy, który wrócił z Anglii opowiadał"...

I pomyśleć, że Polacy w Ameryce tak długo, z takim uporem bronią swojej polskości i z taką tęsknotą myślą o „starym kraju".

Nieraz w czasie takich rozmów chciałem krzyknąć: — Dość! Więcej szacunku dla siebie kochani rodacy. Nie zapominajcie, że jesteśmy stąd. Z widel Wisły i Sanu, z mazowieckich piasków, z przełomu Dunajca. Tu żyjemy, tu żyć będą nasze dzieci i wnuki. Ojczyzny się nie wybiera tak, jak się nie wybiera rodziców Jest się z nią związanym w chwilach łatwych i trudnych, radosnych i tragicznych. Cóż z was za patrioci, skoro jesteście gotowi sprzedać swo godność narodową za wygodniejsze, ułatwione życie. Wszyscy chcemy żyć dostatnio, lepiej niż dziś. Ale na to trzeba pracować, pracować i jeszcze raz pracować.

I powiedziałem tego jednak moim ro wcom. Tą drogą si więc do nich zwracam. A wszystkim tym, którzy będą mnie posądzali o chęć ponownego zapuszczenia żelaznej kurtyny między nami a Zachodem oświadczam, że także się czasem golę szwedzkimi żyletkami, a oprócz Witkacego, Gombrowicza i Różewicza czytam również Hemingwaya, Kafkę i Camusa. Franciszki Sagan nie czytam, bo nie mam ochoty, ale nie ze względów politycznych.

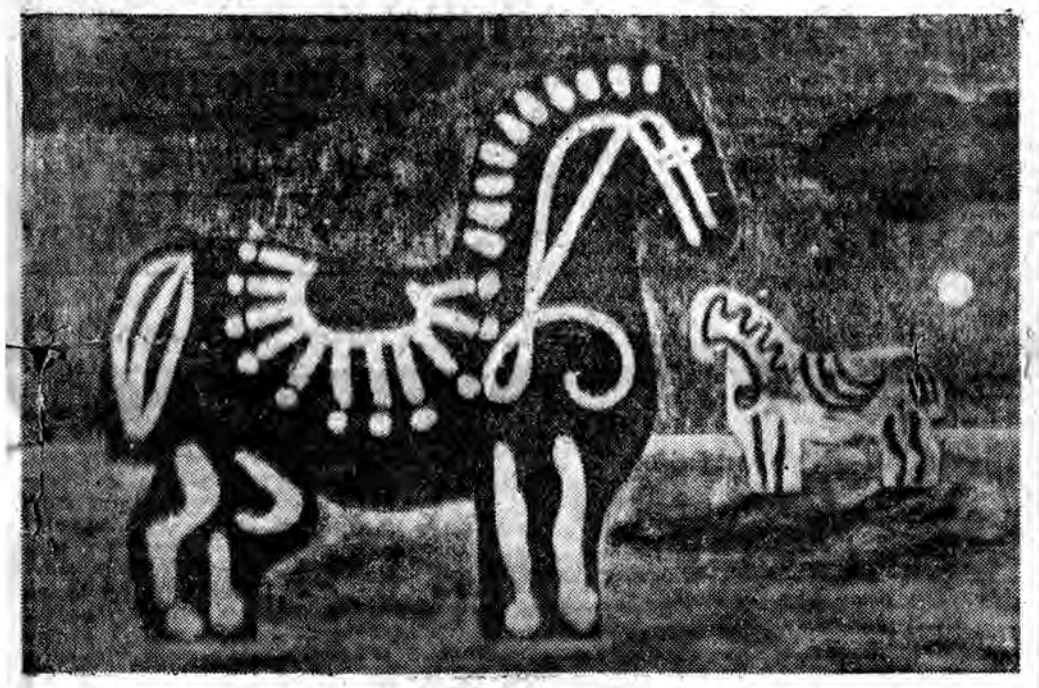

L. E. HOŁDANOWICZ — BYŁY SOBIE KONIE DWA

notatnik KULTURALNY

OSTATNIO rzeszowski oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich zorganizował spotkanie dziennikarzy i współpracowników „Nowin Tygodnia" z kierownikiem Wydziału Kultury Prezydium WRN tow. Mieczysławem Sytą. W czasie spotkania tow. Syta omówił szeroko problemy upowszechniania kultury w woj. rzeszowskim oraz odpowiadał na zadane mu pytania. W dyskusji zabierali głos również współpracownicy „Nowin Tygodnia" m. in. doc. Fr. Kotula, dr T. Stanisz, M. Skowroński, Fr. Lipiński, mgr I. Pitulanka i inni.

* * *

W NASZYM województwie zakończone zostały powiatowe eliminacje zespołów świetlicowych, w których udział wzięło: 49 chórów, 22 orkiestry dęte, 5 orkiestr mandolinistów, 42 kapele ludowe i 28 solistów (śpiew i cymbaliści). Na wyróżnienie zasługuje przede wszystkim powiat ustrzycki, z którego w eliminacjach „startowało": 3 chóry (Wojtkowa, Wańkowa, Czarna), orkiestra dęta Ustrzyckiego Kopalnictwa Naftowego pod dyr. Ferdynanda Poprawy, orkiestra mandolinistów z Ustianowej oraz dwie solistki: Anna Dunkiewicz i Stefania Sladnicka. Warto również wymienić powiaty: lubaczowski i rzeszowski.

W I kwartale br. odbędzie się w Rzeszowie wojewódzki przegląd kapel ludowych i solistów tych zespołów i osób, które osiągnęły najlepsze noty na eliminacjach powiatowych.

* * *

V OGÓLNOPOLSKI Konkurs Recytatorski (5—15 maja) poprzedzą jak co roku eliminacje wstępne (do 15 stycznia br.), powiatowe (luty) i z kolei wojewódzkie (kwiecień). W Rzeszowie powołano już Wojewódzką Komisję V Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, w skład której m. in. weszli: H. Truchanowicz, H. Kostoń, dr T. Stanisz, S. Pieśniarowicz, J. Wójtowicz, Wł. Chłopnicki i inni. Konkurs odbywa się w kilku kategoriach: a) amatorów, b) młodzieży szkolnej, c) młodzieży akademickiej i d) artystyczno - zawodowej. Dla zwycięzców przewidziano wysokie nagrody pieniężne.

* * *

„SZACHY w świetlicach wiejskich". Pod takim hasłem odbywają się w naszym województwie rejonowe eliminacje szachistów, które trwać będą do 15 lutego br. Najlepsi szachiści wezmą udział w I Międzynarodowym Festiwalu Wiejskich Drużyn Szachowych w Zakopanem. (p)

Na pytania odpowiada:

MIECZYSŁAW SYTA

KIEROWNIK WYDZIAŁU KULTURY PREZ. WRN

— Może na wstępie kilka słów o sprawach upowszechnienia kultury w naszym województwie.

— Zagadnienie upowszechnienia kultury pojmujemy w ten sposób, że należy w pierwszym rzędzie przywrócić społeczny charakter pracy w tej dziedzinie. Wygląda to mniej więcej tak, że rozwiązywanie wszystkich spraw stawiamy przed środowiskiem, a nie jak to było dawniej przed „etatowymi działaczami".

Zdajemy sobie dokładnie sprawę, że np. etatowi kierownicy świetlic — ludzie częstokroć niedoświadczeni i nie przygotowani, stali się w zasadzie kierownikami do otwierania i zamykania lokali świetlicowych. Wypełniali posłusznie dyrektywy, a w rezultacie brak było jakiejkolwiek myśli twórczej.

Dlatego obecnie musimy tak pracować, ażeby połączyć dwie energie:

a) dobrowolny wysiłek ludzi oddanych całym sercem swemu środowisku,

b) pomoc merytoryczną, organizacyjną i finansową ze strony rad narodowych.

Tak pojęta praca powinna przynieść w efekcie dobre rezultaty.

— Wspomnieliście tutaj o pomocy finansowej. Czy formy przekazywania dotacji pieniężnych ulegną także zmianie?

— Naturalnie. Dotychczas na przykład fundusze na prowadzenie świetlic wiejskich figurowały w budżecie gromadzkich rad narodowych. Z budżetu tego 70 proc. pochłaniały pensje kierowników, ubezpieczenia, światło, opał, czystość a „resztki" zostawały na tzw. działalność kulturalno-oświatową.

Obecnie pieniądze będą przekazywane w formie dotacji do poszczególnych środowisk, co gwarantuje właściwy podział i zużycie pieniędzy.

— Jak oceniacie sytuację w dziedzinie czytelnictwa i bibliotek wiejskich?

— Posłużę się może cyframi. Otóż na 581 gromadzkich rad narodowych mamy 334 biblioteki, co jest szalonym krokiem naprzód w stosunku do ilości tych placówek w latach poprzednich. W roku bieżącym założyliśmy 87 nowych bibliotek gromadzkich, a w roku przyszłym planujemy powołanie do życia 20 tego rodzaju placówek. Gościliśmy ostatnio bibliotekarzy z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, którzy zwiedzili wiele ośrodków i pozytywnie ocenili pracę punktów bibliotecznych.

— Czy skończyły się już perypetie Wojewódzkiej Orkiestry Symfonicznej?

— Jeszcze nie. Członkowie orkiestry pracują naprawdę w bardzo trudnych warunkach. Próby odbywają się w maleńkiej salce i wszyscy nawzajem się zagłuszają. Obecnie czynimy starania, ażeby orkiestra mogła ćwiczyć i występować w sali ZZK. Chodzi tutaj w zasadzie tylko o dobrą wolę kolejarzy, którzy przecież nadal zostaną gospodarzami swojej sali. W 1958 roku Wojewódzka Orkiestra Symfoniczna zostanie upaństwowiona, co gwarantuje jej dalszy, systematyczny rozwój.

— Podobno Teatr im. Wandy Siemaszkowej przechodzi pod opiekę Wojewódzkiej Rady Narodowej?

— Od 1 stycznia 1958 roku sześć teatrów w Polsce — a m. in. również Teatr im. Wandy Siemaszkowej — przeszło pod nadzór Wojewódzkiej Rady Narodowej. Teatr uzyska naturalnie jak największą samodzielność. O sprawach repertuaru i poziomu artystycznego decydować będzie wyłącznie rada i kierownictwo artystyczne. Strona prawna, analiza planu usługowego, ustalanie podstawowych kierunków działania — oto sprawy, które należeć będą do Wojewódzkiej Rady Narodowej. Już obecnie czynimy starania o uzyskanie kredytów na pełny remont teatru.

— Jakie zadania stawiacie sobie w bieżącym roku?

— Wymienię kilka najważniejszych. Przede wszystkim zakończenie budowy legendarnego już Domu Kultury w Sędziszowie, budowę Domu Kultury w Lubaczowie oraz na przełomie 1958 i 1959 roku zakończenie odbudowy dużej synagogi, która jak wiadomo ma być przeznaczona na salę wystaw.

Notował: JERZY PISKOR

JERZY MIRECKI

ZAGINIONY OBRAZ

(Udramatyzowana kronika — dokończenie)

SCENA III

Głos I — Mówią, że nowe dzieło Rembrandta — portret strzelców — nie jest tak świetny, jak jego inne obrazy.

Głos II — Opinie często tworzą nie najmądrzejsi, lecz najgadatliwsi...

Głos I — Przypatrzmy się obrazowi, żeby mieć własne zdanie.

Głos II — Ooo, przy obrazie widzę Rembrandta, miny jednak nie ma wesołej.

Głos I — No, sądząc po obrazie — powinien być zadowolony...

Głos II — Nie spodziewałem się, że tak wielkie dzieło stworzył. Znajduję ten obraz o wiele ciekawszym od tych, które ostatnio spod jego pendzla wyszły.

Głos I — Czym dłużej się przyglądam obrazowi, tym bardziej wydaje mi się piękny.

Głos II — Mistrzu Rembrandcie, chcemy wam pogratulować dzieła i zapytać o powód smutku. Naprawdę, w takiej chwili powinniście się radować!

Głos I — Odnieśliście duży triumf, panie.

Rembrandt — Cóż, kiedy zapłaty za obraz nie mogę otrzymać... Strzelcom portret ich się nie podoba.

Głos II — Panowie, co macie do zarzucenia obrazowi?

— 10 —

Strzelec I — A któż widział wojsko w takiej bezładnej rozsypce malować?!

Strzelec II — Tyle hałasu na tym obrazie, aż głowa boli.

Głos I — Nie rozumiem, o co wam chodzi? Na obrazie pokazany jest moment alarmu, wezwanie do broni. Kapitan idzie na przedzie, dobosz bije w bęben, chorąży rozwija sztandar. A wszyscy wychodzą jakby z obrazu, takie mają zamaszyste ruchy...

Strzelec I — Nie widziałem jeszcze na żadnym obrazie tak namalowanych strzelców. Nie wiadomo w ogóle jakie to światło: dzienne, czy nocne. Jedni uważają tak, drudzy inaczej. Może nas objaśnisz, mistrzu?

Rembrandt — Oddal nos od płótna, to sam zobaczysz. Farby olejne są niezdrowe, gdy się je wącha.

Głos I — To istne barbarzyństwo nie podziwiać tak pysznej skali barw — od najświatlejszej żółtczyny poprzez wszystkie stopnie czerwonego pałającego światłocienia, do najposępniejszej czerni.

Strzelec II — Ja za namalowanie moich pleców nie dam pieniędzy. Wszyscy mieliśmy zapłacić tyle samo, a więc każdego na obrazie powinno być jednakowo widać.

Strzelec III — Mój jest tylko profil, chcę mieć namalowaną całą twarz, jak inni. I rąk moich całkiem nie ma.

Strzelec IV — Mistrzu Rembrandcie, koledzy śmieją się ze mnie. Mówią, że jestem podobny na obrazie do... małpy.

R. — Możliwe, że gdyby ci inny malarz portret robił, to byś był podobny do barana...

(ogólny śmiech)

Kapitan — Obrażasz nas, panie Nie pozwolę, aby do moich strzelców w ten sposób mówiono.

R. — Twój gniew, kapitanie, jest święty. Uczyń jeszcze tylko, aby strzelcy byli rozsądniejsi.

Kapitan — Nie pozwolę im płacić ani grosza... A myślę, panie, że żadne stowarzyszenie strzeleckie zamówienia wam więcej również nie da.. Stroje na strzelcach źle leżą. Nawet rusznicy nie potrafisz na-

— 11 —

OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE

KAROL ČAPEK

Ślady

PAN RYBKA tej nocy podążał do domu w szczególnie dobrym humorze; po pierwsze dlatego, że wygrał swoją codzienną partię szachów („ładny był ten mat koniem", delektował się po drodze wspomnieniem) a po drugie, że spadł świeży śnieg i w tej pięknej, czystej ciszy miękko skrzypiał mu pod nogami. „Boże, jakież to śliczne" — rozmyślał pan Rybka: miasto pod śniegiem staje się naraz zupełnie małe, staje się jakby staroświeckim miasteczkiem, człowiek gotów jest nawet uwierzyć w stróżów nocnych z halabardami i karety: ciekawa rzecz, że śnieg ma w sobie coś staroświeckiego i wiejskiego.

Skrzyp, skrzyp — pan Rybka omijał wydeptaną ścieżkę dla samej tylko przyjemności tego skrzypienia. A że mieszkał w cichej, ukrytej w ogrodach uliczce, im dalej szedł, tym mniej było śladów. „O, patrzcie, tutaj przy tej furtce zniknęły ślady męskich bucików i damskich pantofelków; na pewno mąż i żona, czy też są młodzi?", pomyślał ciepło, jakby im chciał pobłogosławić. Tędy przebiegł kot i pozostawił na śniegu podobne do kwiatuszków odbicie swych łapek. „Dobranoc, kiciu, będzie ci zimno w łapcie". A teraz został już tylko jeden sznur śladów, męskich i głębokich, równy, i jasny łańcuszek kroków, który rozwinął na chodniku samotny przechodzień. „Któryż to z sąsiadów mógł tędy iść?, pomyślał pan Rybka z przyjaznym zainteresowaniem. tak mało tędy chodzi ludzi, ani jednej koleiny nie widać na śniegu, jesteśmy tu jakby na krańcach życia Gdy dojdę do domu, uliczka pociągnie białą pierzynę aż pod sam nos i będzie się jej śniło, że jest tylko dziecinną zabawką. Szkoda, że nam to rano zadepce babinka z gazetami; ach, ta narobi tu śladów we wszystkie strony jak zając".

Nagle pan Rybka przystanął: właśnie w tej chwili gdy chciał przejść przez bielusieńką ulicę do swojej furtki, spostrzegł, że i te ślady, które biegły przed nim, skręcają z chodnika i zmierzają przez ulicę prosto ku jego furtce. „Któż by to do mnie szedł?", pomyślał zaskoczony i pobiegł oczyma za tymi śladami. Było ich pięć. I dokładnie na samym środku ulicy kończyły się ostrym odciskiem lewej stopy. Dalej nie było już nic — tylko iskrzący się, nietknięty śnieg.

„Ot, głupiec ze mnie, pomyślał pan Rybka, ten człowiek pewnie zawrócił na chodnik i poszedł dalej" Ale jak daleko sięgał wzrokiem, chodnik był gładko pokryty puszystym śniegiem bez jednego śladu ludzkiej stopy. „Cóż u licha — dziwił się pan Rybka, dalsze ślady będą na pewno na drugim chodniku". I obszedł łukiem niedokończony rząd śladów, ale na drugim chodniku też nie było ani jednego odbicia ludzkiej stopy, a cała ulica świeciła nietkniętym, miękkim śniegiem, że aż dech zapierało na widok tej czystości. Od czasu jak spadł śnieg, nikt tędy nie szedł. To dziwne — mruczał pan Rybka — ten człowiek pewnie wrócił na chodnik cofając się po własnych śladach; ale w takim wypadku musiałby się w ten sposób cofać aż na róg ulicy, ponieważ od tego miejsca biegły przede mną tylko jedne ślady i tylko w tym jednym kierunku. „Ale dlaczegoby ten człowiek miał tak robić?", zdumiał się pan Rybka. „I jak mógłby, idąc w tył, trafiać tak dokładnie we własne ślady?".

Kręcąc głową, otworzył furtkę i wszedł do domu. Choć wiedział, że to nonsens, rozejrzał się jednak, czy w samym domu nie widać jakichś odcisków ośnieżonego buta. — No, jasne, skądby się tu wzięły. Chyba mi się przywidziało — mruknął zaniepokojony pan Rybka i wychylił się z okna: na ulicy w świetle latarni ujrzał wyraźnie pięć ostrych i głębokich śladów, kończących się na środku jezdni. A dalej już nic.

„A niech to piorun", pomyślał przecierając oczy. „Kiedyś czytałem jakąś nowelkę o jednym śladzie na śniegu, ale tu jest ich cały szereg, a potem nagle nic". Gdzież się ten człowiek podział?"

Kręcąc głową zaczął się rozbierać. Ale nagle zaniechał tego, podszedł do telefonu i przytłumionym głosem wszczął rozmowę z komisariatem policji:

— Halo, pan komisarz Bartoszek? Proszę pana, tu jest taka dziwna sprawa, b a r d z o dziwna... Gdyby pan tak zechciał przysłać tu kogoś, albo lepiej gdyby pan tak sam przyszedł... Dobrze, poczekam na pana na rogu. Ja nie wiem, o co chodzi... Nie. Sądzę, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Chodzi tylko o to, żeby tych śladów nikt nie zadeptał.. Ja nie wiem, c z y j e to ślady. Dobrze, poczekam na pana.

Ubrał się i wyszedł na ulicę: ostrożnie obszedł te ślady, uważając także i na chodniku, żeby ich nie zadeptać. Drżąc z zimna i zdenerwowania, czekał na rogu ulicy na komisarza Bartoszka. Było cicho, a zamieszkała przez ludzi ziemia spokojnie świeciła swymi światłami w wszechświat.

— Jak tu pięknie i cicho — mruczał melancholijnie komisarz Bartoszek. — A mnie tam przyprowadzili dwóch awanturników i jednego pijusa. Pfuj. No i cóż pan tam ma dla mnie?

— Proszę obserwować te ślady, panie komisarzu — rzekł pan Rybka drżącym głosem. — To tylko kilka kroków stąd.

Pan komisarz przyświecił sobie elektryczną latarką. — To był dryblas — orzekł. — Sądząc po stopie i długości kroku chyba z metr osiemdziesiąt. Buty miał porządne, myślę, że ręcznie szyte. Zalany nie był i szedł dość raźno. Ja nie wiem, co się panu w tych śladach nie podoba.

— To właśnie — rzekł krótko pan Rybka i wskazał na niedokończony rząd kroków na środku jezdni.

— Aaa — powiedział komisarz i nie bawiąc się w żadne ceregiele podszedł do ostatniego śladu, przysiadł w kucki i przyświecił sobie latarką. — To nic szczególnego — orzekł uspokojony — to jest zupełnie normalny, mocny ślad. Waga ciała spoczywała raczej na pięcie. Gdyby ten człowiek zrobił następny krok albo wykonał skok, waga ciała przeniosłaby się na palce, rozumie pan? I byłoby to widać.

— To znaczy?... — spytał pan Rybka z napięciem.

— Jasne — odrzekł komisarz spokojnie. — To znaczy, że dalej już nie szedł.

— A zatem, gdzie się podział? — wykrztusił Rybka, trzęsąc się jak w gorączce.

Komisarz wzruszył ramionami.

— Tego nie wiem. Czy ma pan może na niego jakieś podejrzenie?

— Jakie podejrzenie? — zdumiał się pan Rybka. — Ja chciałbym tylko wiedzieć, gdzie się podział. Niech pan spojrzy: tutaj zrobił ostatni krok, a gdzie, na Boga, zrobił następny? Przecież tu nie ma żadnego dalszego śladu.

— No tak — rzekł sucho komisarz. — A co pana to obchodzi, dokąd poszedł? Czy to jest ktoś z pańskiego domu? Zaginął panu ktoś? A więc, u licha, co to pana obchodzi, dokąd sobie poszedł?

— Ale to musi być przecież wyjaśnione — zaczął bełkotać pan Rybka. — Nie sądzi pan, że mógł się cofać po własnych śladach?

— Nonsens — mruknął komisarz. — Gdy człowiek się cofa, stawia krótsze kroki i stąpa szerzej, aby lepiej utrzymać równowagę. A poza tym nie podrosi nogi, musiałby więc wdepnąć piętami w całe to wgłębienie. Po tych śladach raz tylko stąpano, drogi panie. Widzi pan przecież, jakie są ostre.

— Jeżeli nie zawrócił — nalegał uparcie pan Rybka — to gdzie się podział?

— To już jego rzecz — mruknął komisarz. — Niechże pan posłucha: skoro nie dopuścił się żadnego przestępstwa, my nie mamy prawa mieszać się w jego sprawy. Na to musielibyśmy mieć na niego jakieś doniesienie, wtedy dopiero moglibyśmy wszcząć wstępne śledztwo.

— Ale czy to człowiek może na środku ulicy po prostu zniknąć? — oburzył się pan Rybka.

— Co do tego, to musi pan trochę poczekać, drogi panie — doradził komisarz. — Jeżeli ktoś zniknął, za kilka dni zgłosi nam to jego rodzina, albo ktoś inny. No, a wtedy

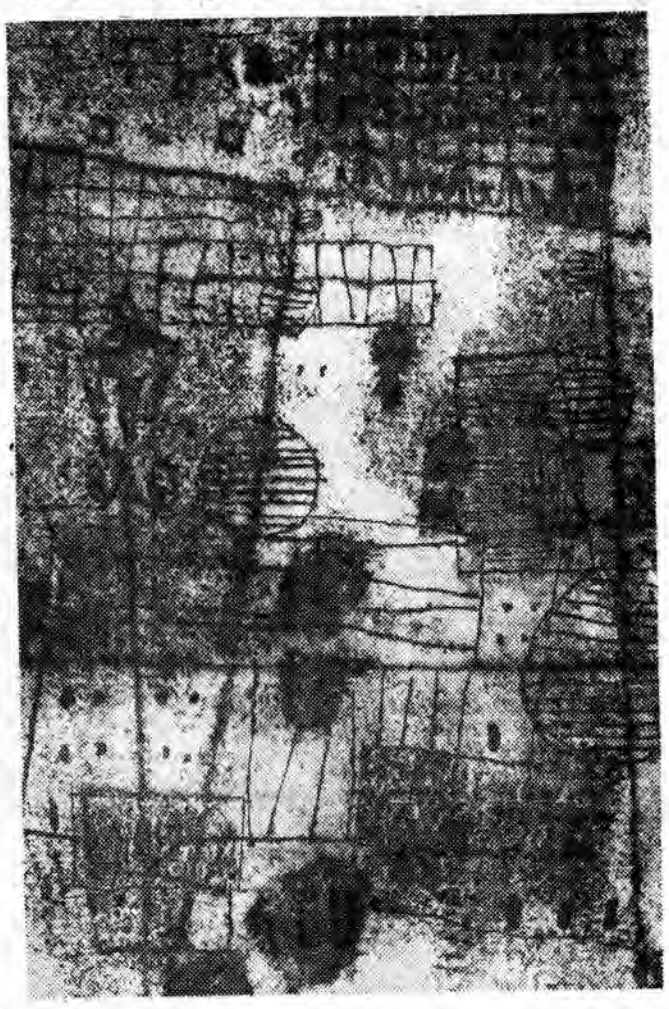

zaczniemy go szukać. Dopóki nikt go o nic nie obwinia, nam nic do tego. Nic na to nie poradzę.

W panu Rybce począł się budzić głuchy gniew.

— Przepraszam pana — powiedział ostro — ale ja byłbym zdania, że policja p o w i n n a się trochę zainteresować wypadkiem, kiedy spokojny przechodzień ni stąd, ni zowąd znika na środku ulicy.

— Przecież jemu się nic nie stało — uspokajał go pan Bartoszek. — Tu przecież nie ma ani śladu jakiejś walki. Gdyby go ktoś napadł, to śladów musiałoby tu być że hej. Przykro mi proszę pana, ale ja tu nie mam powodów do interwencji.

— Ależ, panie komisarzu — załamał ręce pan Rybka — niechże pan chociaż wyjaśni... To jest przecież zupełna zagadka...

A TAK, zagadka jest — zgodził się pan Bartoszek w zamyśleniu. Nie ma pan pojęcia, ile jest na świecie zagadek. Każda chałupa, każda rodzina to już zagadka. Gdy szedłem tu do pana, tam oto w tym domku załkał jakiś młody kobiecy głos. Mój panie, zagadki to nie nasza sprawa. Nam płacą za porządek. Czy pan sądzi, że my tropimy tego czy innego złodzieja z ciekawości? My go tropimy, drogi panie, po to, żeby go zamknąć. Porządek musi być.

— O, widzi pan, porządek musi być — zawołał pan Rybka. — A przyzna pan chyba, że to nie jest w porządku, jeżeli ktoś na środku ulicy... przypuśćmy... wzniesie się prosto w powietrze, nie?,

— To zależy od interpretacji — zauważył komisarz. — Jest taki przepis policyjny, że jeżeli zachodzi niebezpieczeństwo upadku z większej wysokości, dany osobnik powinien być przywiązany. W wypadku wykroczeń przeciw temu najpierw udziela się napomnienia, a potem wymierza się grzywnę. Jeżeli ten pan wzniósł się w powietrze, ot tak sobie, z własnej woli, pełniący służbę policjant powinien go był oczywiście wezwać, żeby przypiął sobie pas zabezpieczający. Ale policjanta chyba tu nie było — dodał usprawiedliwiająco. — Bo musiałyby zostać jego ślady. A zresztą może ten pan wzniósł się w jakiś inny sposób?

— Ale w jaki? — wykrzyknął pan Rybka.

Komisarz pokręcił głową.

— Trudno powiedzieć. Może jakieś wniebowzięcie albo drabina Jakubowa... — rzekł niepewnie. — Wniebowzięcie można by chyba zakwalifikować jako porwanie, ale tylko wtedy, gdyby dokonane zostało przy użyciu siły. Ja jednak myślę, że normalnie odbywa się ono za zgodą zainteresowanego. Możliwe, że ten człowiek umie latać. Czy nie śniło się panu kiedy, że pan lata? Wystarczy, żeby się człowiek tylko troszeczkę nogą od ziemi odbił i już unosi się w powietrze.. Niekiedy leci jak balon, ale ja kiedy latam we śnie, muszę się co pewien czas odbijać nogą od ziemi. Sądzę, że to przez ten ciężki mundur i szablę. Być może, że ten człowiek usnął i we śnie zaczął latać. A to nie jest zakazane, drogi panie. Naturalnie, że gdyby się to działo na ruchliwej ulicy, policjant musiałby go przywołać do porządku. Ale, ale.. niech pan poczeka, może to była lewitacja. Spirytyści wierzą w lewitację. Ale spirytyzm także nie jest zakazany. Niejaki pan Baudysz opowiadał mi, że sam widział, jak medium wisiało w powietrzu. Kto wie, co w tym jest.

— Ależ, panie komisarzu — rzekł surowo pan Rybka — chyba pan w te rzeczy nie wierzy. To naruszałoby przecież prawa przyrody...

Pan Bartoszek wzruszył bezradnie ramionami.

— Mój panie, ja to znam, ludzie przekraczają wszystkie możliwe prawa i zarządzenia. Gdyby pan był policjantem, wiedziałby pan o tym coś więcej... — machnął ręką. — Wcale bym się nie dziwił, gdyby i prawa przyrody zaczęli naruszać. Ludzie to jedno wielkie draństwo, drogi panie No, ale dobranoc. Ziąb bierze.

— Nie zechciałby pan napić się ze mną szklanki herbaty... albo śliwowicy? — zaproponował pan Rybka

— Czemu nie — mruknął komisarz melancholijnie. — Bo wie pan, w tym mundurze człowiek nie może nawet do knajpy wstąpić. Dlatego policjanci tak mało piją.

— Zagadka... — podjął swoje rozważania, siedząc w fotelu i przyglądając się w zamyśleniu, jak śnieg taje mu na szpicach butów. — Dziewięćdziesięciu dziewięciu ludzi na sto przeszłoby obok tych śladów i nic by nie zauważyło. I pan sam nie zauważa dziewięćdziesięciu dziewięciu rzeczy na sto rzeczy piekielnie zagadkowych. Guzik wiemy o tym wszystkim, co się wokół nas dzieje. Tylko niektóre sprawy nie są zagadkowe. Zagadkowa nie jest tylko sprawiedliwość. I policja nie jest zagadkowa. Ale każdy człowiek, który idzie ulicą, już jest zagadkowy, a to dlatego, że my nic mu nie możemy zrobić. Wystarczy jednak, żeby coś ukradł, a już przestaje być zagadkowy, bo go przymkniemy, i po wszystkim. Przynajmniej wiemy, co robi, i możemy w każdej chwili przyjrzeć się mu przez takie okienko w drzwiach, wie pan? A tacy dziennikarze, proszę pana, piszą na przykład: „Znalezienie zagadkowego trupa". Co w takim trupie jest zagadkowe? Gdy dostaniemy go w swoje ręce zmierzymy go, sfotografujemy, zrobimy sekcję i już znamy każdą nitkę w jego ubraniu, wiemy, co jadł ostatnio, na co umarł i w ogóle co i jak. Poza tym wiemy, że najprędzej zamordował go ktoś dla pieniędzy. Wszystko jest jasne jak na dłoni... Proszę o bardzo mocną herbatę... Wszystkie zbrodnie są jasne, mój panie. Można w nich dojrzeć pobudki i wszystko, co ma z tym jakiś związek. Ale zagadką jest, co myśli pański kot, o czym śni się pańskiej służącej, albo dlaczego pańska żona z takim zamyśleniem patrzy w okno. Z wyjątkiem czynów karalnych wszystko jest zagadkowe. Każdy kryminalny wypadek to przecież wyraźnie określony fragment rzeczywistości, wycinek, któryśmy sobie dokładnie oświetlili. Niech pan pomyśli, gdybym się tak dobrze u pana rozejrzał, to na pewno bym coś dostrzegł, ale ja przyglądam się szpicowi swojego buta, bo urzędowo nie mam do pana żadnych pretensji. Po prostu nie mamy na pana żadnego doniesienia — dodał siorbnąwszy gorącej herbaty.

Dziwne są te wyobrażenia — podjął znów po chwili — że policja, a przede wszystkim ci tajniacy interesują się przede wszystkim zagadkami. My gwiżdżemy na zagadki. Zbrodnia, drogi panie, nie interesuje nas dlatego, że jest zagadkowa, ale dlatego, że jest zakazana. My nie ścigamy takiego czy innego łobuza dla zaspokojenia naszych intelektualnych zainteresowań, my ścigamy go po to żeby go przymknąć. Zamiatacze nie biegają z miotłami po ulicach po to, aby odczytywać w kurzu ślady ludzi, ale po to, żeby uprzątnąć całe to świństwo, którego tam życie naniosło. Porządek nie jest ani trochę zagadkowy. Robić porządek to marna robota, mój panie. Ale kto chce, żeby było czysto, musi pchać palce we wszystkie brudy. Ktoś w końcu musi zabijać cielęta. Ale zabijanie cieląt z ciekawości byłoby ohydne, to musi być rzemiosło. Jeżeli człowiek ma obowiązek coś zrobić, to przynajmniej wie, że ma prawo to zrobić. Niech pan posłucha: sprawiedliwość musi być niezawodna jak tabliczka mnożenia. Ja nie wiem, może mógłby mi pan udowodnić, że każda kradzież to rzecz zła, ale ja udowodnię panu z całą pewnością, że każda kradzież jest zakazana, dlatego że w każdym wypadku pana aresztuję. Gdyby pan rozrzucał na ulicy perły, policjant upomni pana, że nie wolno zaśmiecać ulic. Ale gdyby pan zaczął czynić cuda, nie możemy panu tego zabronić, chyba tylko w tym wypadku, gdybyśmy to zakwalifikowali jako publiczne zgorszenie, albo niedozwolone zbiegowisko. Musi w tym być jakaś nieobyczajność, żebyśmy się mogli w to wmieszać.

— Ależ, panie komisarzu — oponował pan Rybka, kręcąc się niespokojnie — czego wam jeszcze trzeba? Tu chodzi o... o taką dziwną sprawę... o coś tak niezwykle zagadkowego... a pan...

Pan Bartoszek wzruszył ramionami.

Jeżeli pan sobie życzy, każę uprzątnąć ten ślad, żeby nie mącił pańskiego nocnego spokoju. Więcej nic zrobić nie mogę. Słyszy pan? To idzie nasz patrol. To znaczy jest druga siedem. Dobranoc panu.

Pan Rybka odprowadził komisarza do furtki. Na środku ulicy widział jeszcze ten niedokończony i niepojęty szereg śladów. Chodnikiem zbliżał się policjant.

— Mimra — zawołał na niego komisarz — macie tam co nowego?

Policjant Mimra zasalutował.

— Nic a nic, panie komisarzu — zameldował — Tam pod numerem siedemnastym miauczał na dworze kot, tożem zadzwonił, żeby go wpuścili do domu. Pod numerem dziewiątym była nie zamknięta furtka. Na rogu rozkopali ulicę i nie ustawili czerwonej latarni, a u kupca Marszyka oberwał się z jednej strony szyld, będą go musieli rano zdjąć, żeby komuś na głowę nie spadł.

— To wszystko?

— Wszystko — oświadczył policjant. — Rano trzeba będzie posypać chodniki, żeby ktoś nogi nie złamał. Trzeba o śródstej wszędzie zadzwonić...

— Dobrze, w porządku — rzekł komisarz Bartoszek. — Dobranoc.

Pan Rybka jeszcze raz obejrzał się na ślady, które wiodły w nieznane, ale tam gdzie był ostatni ślad, widniały teraz dokładne odciski komisnych butów policjanta Mimry. I od tego miejsca te szerokie ślady ciągnęły się regularnym i jasnym szeregiem dalej.

— Dzięki Bogu — odetchnął z ulgą pan Rybka i poszedł spać.

Przeł. Zdzisław Hierowski

Ilustrował: Alfred Kud

OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE·OPOWIADANIE

JAN GRYGIEL

TURNIEJ MIŁOŚNIKÓW POEZJI I ŻYWEGO SŁOWA

(UWAGI Z NOTATNIKA JURORA)

MUSZĘ na wstępie przyznać, że nie zwykłem się zbytnio entuzjazmować osiągnięciami amatorskiego ruchu artystycznego. Często nawet z wyraźną niechęcią patrzyłem jak za państwowe dotacje powstawały pozory pracy, pozory sukcesów, pozory oddziaływania na środowisko. W rzeczywistości, rozmaite imprezy organizowane od akcji do akcji były obliczone wyłącznie na doraźny efekt, na pokaz i zamiast rozbudzać zamiłowanie do sztuki, demoralizowały najczęściej uczestników zespołów.

Dopiero gdy się bliżej zetknąłem z jedną z form pracy artystycznej amatorów, mianowicie z Ogólnopolskim Konkursem Recytatorskim przekonałem się, jak mogą krzywdzić pochopne uogólnienia. Zobaczyłem, że te coroczne turnieje miłośników poezji i żywego słowa spełniają bardzo doniosłe zadania — rozwijania i kształtowania kultury uczuć oraz upowszechniania poezji i literatury pięknej w środowiskach społecznych od książki dotąd dość odległych. Na podstawie parokrotnej obserwacji z zastołu komisji sędziowskiej mogę mówić o stałym rozwoju wzwyż tej pięknej imprezy. Zanika, powszechny z początku, deklaratywizm, i tromtadracja werbalna zarówno w doborze tekstów jak i w postawie uczestników konkursu na rzecz szczerości uczuć i liryzmu.

SPRAWA REPERTUARU

JEŻELI czasem ogarniało mnie przy eliminacjach zwątpienie, to właśnie najczęściej budził je zasięg repertuaru niektórych uczestników a czasem i jego poziom. Ciągle się powtarzały te same nazwiska i te same utwory: „Pan Tadeusz", „Janko Muzykant", „Grób Agamemnona", coś z „Obrazków" Konopnickiej i jeśli Żeromski to „Syzyfowe prace" — Broniewski i Majakowski. Najczęściej niestety to ubóstwo w zakresie nazwisk i utworów spotykaliśmy u młodzieży licealnej. Wynikało to z ograniczania się uczestników w wyborze repertuaru do zawartości szkolnych wypisów z literatury. Dużą winę za ten stan rzeczy ponoszą nauczyciele poloniści, którzy opiekują się młodzieżą przystępującą do konkursu. Albo nie dowierzają oni inteligencji i smakowi artystycznemu swoich wychowanków i wybierają sami dla nich utwory tradycyjne, ograne, nie budzące w interpretacji najmniejszej wątpliwości — albo (co się także zdarza) sami nauczyciele są mało obeznani z poezją nie mieszczącą się w kanonie szkolnym. Ale dzieje się tak tylko wtedy, gdy fałszywa jest metoda pracy w dziedzinie żywego słowa nad młodzieżą i nad dorosłymi. Jeżeli uczestnik konkursu pracuje stale i z zamiłowaniem w jakimś zespole czy kółku zainteresowań, jeśli jest w literaturze pięknej naprawdę rozmiłowany i zna ją, to na eliminacjach wystąpi z repertuarem świeżym i ambitnym.

Gdy zaś uczeń został „wytypowany" do udziału w konkursie, otrzymał narzucone mu teksty a przedtem szczerze i bezinteresownie recytacją się nie zajmował, to rzecz jasna, że wtedy jego opiekun musi przygotowywać go do wystąpienia przez mechaniczną obróbkę rzemiosła recytatorskiego i wybiera najłatwiejsze utwory.

Przygotowanie do konkursu winno odbywać się w kółkach i zespołach miłośników poezji i recytacji tak u młodzieży szkolnej jak i pozaszkolnej. Prowadzący uzyska dobre wyniki przez nacisk na interpretację zawartości intelektualnej i emocjonalnej utworu, nacisk na zrozumienie przez członków zespołu wiersza w kontekście całej twórczości pisarza i jego czasów. Wyobrażam sobie, że praca ta winna przypominać próbę analityczną w teatrze.

PROPOZYCJE

JAKIE można by wysunąć propozycje repertuarowe dla uniknięcia szablonu i nudy. Przede wszystkim zwrot ku współczesnej poezji i literaturze pięknej (współczesność pojmuję tu dość szeroko). Tuwim, Lechoń, Jasnorzewska-Pawlikowska, Leśmian, Staff, Czechowicz, Szaniawski, Przyboś, Jastrun, Różewicz... oto kilka nazwisk pod rozwagę. Oczywiście nie myślę tu o narzucaniu nowszej poezji ludziom, którzy nie czują się z nią związani, nie idzie tu o eliminowanie z repertuaru konkursu klasyków.

Trzeba dodać, że najwięcej nieporozumień przy doborze utworów nastręcza satyra. Regulamin konkursu powiada bowiem, że konkurs obejmuje trzy grupy repertuarowe: prozę, poezję i satyrę. Każdy z uczestników powinien przygotować po jednym utworze z dwóch lub trzech grup (zależnie od kategorii).

To co na ogół przynoszą na konkurs uczestnicy, mało ma wspólnego z satyrą. Są to zwykle złośliwe lub wesołe wierszyki o skromnych walorach artystycznych.

Satyryk, to ten co pisze lekko do śmiechu — sądzi widać większość recytatorów i dlatego zamiast satyry o wysokiej randze artystycznej słuchaliśmy najczęściej tekstów rewiowych. Niechże uczestnicy konkursu nie zapominają o satyrze Słowackiego, Norwida, Wyspiańskiego, Szaniawskiego itd.

RECYTACJA CZY DEKLAMACJA?

MNIEJ zastrzeżeń budzi na ogół poziom samej recytacji. Nie znaczy to, rzecz prosta, że w konkursie biorą udział sami artyści. Zdarzają się duże talenty obok recytacji prymitywnych będących wyrazem złego smaku i braku kultury uczuć. Przeważa jednak przeciętna poprawność wykonania. Ponieważ tak się jakoś układało, że poziom recytacji był najczęściej zależny od terenu, z którego uczestnik na eliminacje wojewódzkie przybywał (np. Przemyśl — wyrównany, wysoki poziom — Jarosław czy Gorlice poziom słabszy) sądzę, że zależy to od instruktorów czy opiekunów recytatorów. Jeżeli uczestnik konkursu reprezentuje styl tradycyjnej deklamacji, na który składa się namiętna gestykulacja, nieznośna afektacja i egzaltacja, nadużywanie patosu i efektów dźwiękonaśladowczych, często winien jest temu instruktor i jego upodobania. Wprawdzie ta „deklamacyjna" maniera nie występuje już obecnie zbyt często, lecz wydaje mi się, że warto przed nią przestrzec.

Można by jeszcze mówić o objawach „gwiazdorstwa" — wśród uczestników konkursu — o niezdrowej atmosferze w kuluarach eliminacji wynikającej ze źle pojętego współzawodnictwa, ale brak na to już czasu i miejsca. Jeżeli parę moich krytycznych uwag przyda się komuś w pracy nad sobą przed zbliżającym się tegorocznym konkursem recytatorskim — będę szczęśliwy, że pomogłem ludziom, których cenię za bezinteresowną miłość piękna i poezji.

Gyula Hincz. Dziewczyna z gołębiem.

UWAGA: SĘDZISZÓW

(Oto dalsze prace uczniów Liceum Technik Plastycznych w Sędziszowie)

Kwietnik

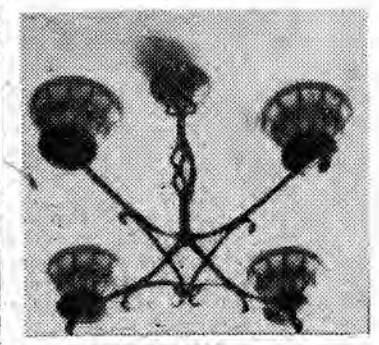

Żyrandol wykonany przez Kazimierza Mierczyńskiego.

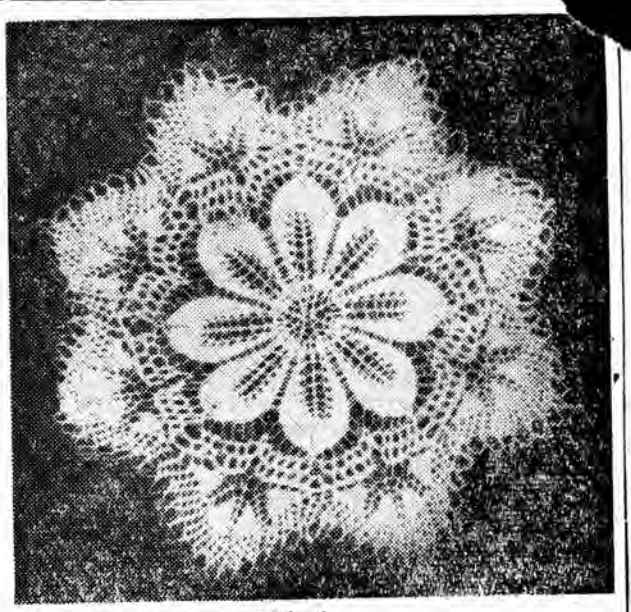

Makatka

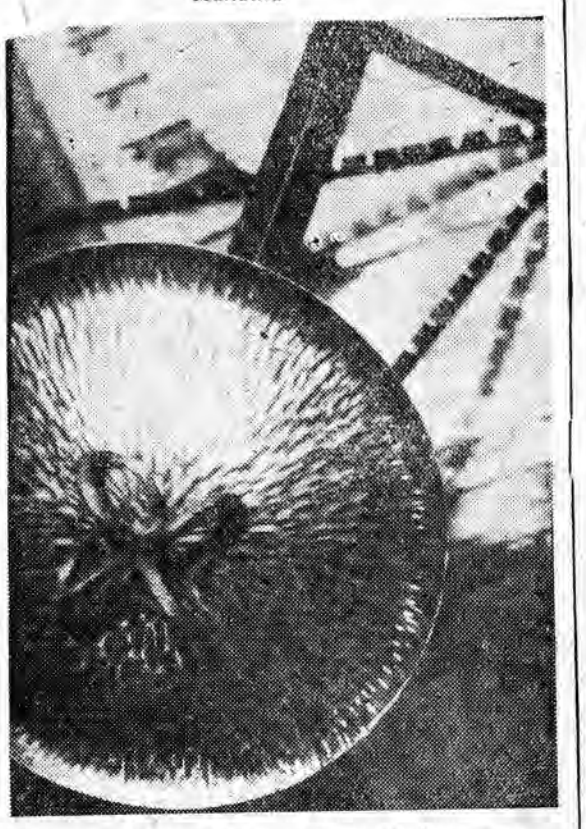

Kazimierz Mierczyński — „Żyrandol (fragment)

KOT W BUTACH i 7-LETNIA PUBLICZNOŚĆ

JEDYNĄ forma, która chyba najmniej zubożała przez kilka lat okresu komenderowania sztuka jest bajka. Jej siła przetrwania leży przede wszystkim w olbrzymiej żywotności fantastycznego gatunku literackiego, prostocie stawianego problemu i ładunku emocjonalnym, jaki zawiera. Jeżeli nawet powstawały takie osobliwości literatury dziecięcej jak Brzechwy „Opowiadał dzięcioł sowie", to uroczy język bajarza i momenty baśniowe biały zdecydowaną górę nad pseudorealizmem i nieciekawym światem rzeczywistości. Taka widocznie jest struktura każdej baśni, że fantastyka pozostaje nietknięta, a elementy rzeczywiste ulegając zmianom w zależności od upodobań „historycznej „epoki, schodzą w cień. Nie jest to wcale dobrze jeżeli w sensie baśniowym zatraca się sens wychowawczy bajki, ale z drugiej strony zły to sens rzeczywisty, który nie umie w sposób literacko piękny znaleźć sobie w bajce czołowego miejsca. I takiego właśnie sensu nie mam wcale zamiaru żałować.

Żałuję natomiast czego innego: że do Teatru im. Wandy Siemaszkowej zabłąkał się „Kot w butach", opracowany przed pięciu bodaj laty przez Z. Laurentowskiego i ilustrujący w pełni baśń socrealistyczna, a więc taka, jakiej nie chcemy widzieć.

Posądzało się braci Grimmów, iż w rekonstrukcji ludowej bajki z upodobaniem wysuwali na plan pierwszy elementy makabry — sadyzm i krwiożerczość. Nazwano ich zbiór „kryminalistyka dla najmłodszych". Spostrzeżenie to dowodzi niezwykłej wnikliwości analizujących, ale jednocześnie niewielkiej znajomości źródeł, z których bajka czerpie swoją tematykę. Człowiek pierwotny w momentach zdrady zabijał i odchodził spokojnie do swego śmiesznie, lecz praktycznie zorganizowanego życia. Spełniał obowiązek, jaki nakazywała mu jego prymitywna moralność. Człowiek pierwotny bał się potwora z oczami wielkimi jak kamienie młyńskie, z pięcioma czy więcej głowami; stąd z lubością po kolei odcinał jedną głowę po drugiej, smakując w zwycięstwie — rozkoszy pognębienia wroga.

Z maleńkiego Odensee także wybiegła w świat bajka. Inna, bo wymyślona, bo podporządkowana prawom literackiego dzieła. Bajka smutna, gorzka w swojej wizji świata, mądra satyra. Bajka andersenowska. Tam jest mało pięciogłowych potworów, krwawych zabójstw, patetycznego bohaterstwa. Ogromna tkliwość i subtelne cierpienie postawiło ją w rzędzie filozoficznej opowieści, zabarwionej pastelową fantastyką; rubaszny humor zastąpił lekki dowcip, egoizm — analiza duszy ludzkiej. Dwa duże zbiory bajek i baśni są do dziś przecież do naszej dyspozycji; zbiór Andersena o tyle cenniejszy, że zawierający dużo więcej elementów wychowawczych od autentystów Grimmów.

Wiele razy widziałam na scenie i nawet na filmie perypetie Janka i Kota w butach. Nigdy wszakże w tak nieudolnej wersji jak ta, którą zaprezentował Teatr — w wersji Z. Laurentowskiego. Dziwić by się bardzo, że reżyser bajki JANUSZ KILARSKI wybrał także taką jej koncepcję. Trudno to nawet wytłumaczyć socrealizmem Laurentowskiego, bo nie mamy tu do czynienia z dziełem literackim, które niesposób przecież dowolnie trawestować, ale przeciwnie z gatunkiem, który był ciągle udoskonalany przez wieki i jeżeli dziś doszedł do nas w takiej formie, to nie znaczy, iż przetrwa w niej sto czy dwieście lat jeszcze.

„Kot w butach" Janusza Kilarskiego jest nieporozumieniem w roku 1958. Znowu tradycyjna historia ze sztywnym rozgraniczeniem świata rzeczywistego i baśniowego, z wysunięciem na pierwszy plan spektaklu moralizatorstwa biblijnego: „nie kradnij, a będziesz szczęśliwy", albo ta sama pointa z innym czasownikiem i bez przeczenia tym razem: „pracuj, a będziesz szczęśliwy". Zastrzegam się, iż jestem daleka od niemoralności i tego rodzaju morał bajki uznaję: nie mogę jednak położyć swego placet pod formą w jakiej zostało to podane młodemu widzowi.

Trudno zgodzić się także z tym, gdy jedna z najbardziej tradycyjnych bajek, ilustrująca bardzo przejrzyście wszystkie cechy ludowe: zmysł praktyczny, uczciwość, spryt była pozbawiona zdrowego humoru, starannie oczyszczona z komicznych sytuacji. Można zrozumieć brak humoru tekstowego, odnośnie tego, co napisało się o Z. Laurentowskim, nie mogę natomiast wyzbyć się pretensji pod adresem reżysera o brak humoru sytuacyjnego, na który dzieci potrafią może nawet bardziej spontanicznie reagować. Aktorzy robią, co mogą, by uratować monotonię bajki, mimo to przypadkowa improwizacja nigdy nie zastąpi przemyślanej koncepcji. Nie jestem także zachwycona tego rodzaju kontaktem z widownią, który polega w czasie 2-godzinnego spektaklu na zadaniu kilku pytań i chóralnym „tak" w odpowiedzi; kontakt z widownią inaczej rozumiem, wydaje mi się, że powinien trwać przez pełne dwie godziny, a wyrażać się oklaskami i śmiechem. Te oklaski usłyszałam po akcie drugim, gdzie dynamiczne tempo i komizm sytuacyjny (a nawet odrobina tekstowego) wprowadzony perypetiami dworu królewskiego potrafił widownię rozbawić. Dużo w tym także zasługi samego Króla — **Bohdana Czechaka.**

Jedyny plus przedstawienia to sylwetka Kota — w wykonaniu **Elżbiety Kilarskiej,** ładnie i konsekwentnie zarysowana przez reżysera i przyjemnie zagrana przez aktorkę. Właśnie w Kocie, a nie w Janku czy Dosi kryje się mądrość życiowa, sceptycyzm — wszystko co bardzo ludzkie.

Aktorsko „Kot w butach" jest raczej nieciekawy. Poza wspomnianymi: **Elżbieta Kilarska, B. Czechakiem i J. Jachowiczem** oraz niezłym czarodziejem — **J. Kilarskim** — aktorzy są sztywni, sprawiając wrażenie, jakby krępowała ich 7-letnia publiczność i dając do zrozumienia, że to wszystko jest tylko „na niby".

Trudno natomiast nie wspomnieć z uznaniem o scenografii **Salomei Gawrońskiej,** która nie poskąpiła fantastyki wnętrzem pałacu Gromiwoja i efektownymi kostiumami.

„Kot w butach" — Janusza Kilarskiego powinien być wydarzeniem ciekawym. Niewiele bajek przecież mogą oglądać dzieci w wykonaniu dobrego zespołu aktorskiego, z przemyślaną koncepcją przedstawienia. To, że mimo wad, i to dużych, cieszy się frekwencja, dowodzi tylko głodu tego rodzaju imprez. Źle jednak, że zaczyna się teatralne wychowanie widza, bardzo przecież młodego, bajką wyciągniętą z lamusa schematyzmu.

Dlatego nie od rzeczy i nie gwoli własnej przyjemności wspomniałam tutaj baśnie Andersena, które oby zawędrowały w przyszłości na scenę Teatru im. W. Siemaszkowej.

K. ŚWIERCZEWSKA

PIĘĆ LAT DZIAŁALNOŚCI MIĘDZYSZKOLNEGO OŚRODKA PRAC POZALEKCYJNYCH w JAROSŁAWIU

W POLSCE istnieje tylko 8 tzw. międzyszkolnych ośrodków pozalekcyjnych. M. in. ośrodki takie istnieją w Warszawie, Katowicach, Krakowie, Łodzi, Wrocławiu i... Jarosławiu.

Międzyszkolny Ośrodek Prac Pozalekcyjnych to inaczej mówiąc wzorowo prowadzona, duża świetlica dysponująca odpowiednim pomieszczeniem, sprzętem i co jest tutaj bodajże najważniejsze, zapewniająca młodzieży wysoko kwalifikowaną kadrę instruktorską.

Jarosław to duże skupisko szkół zawodowych. W tym mieście młodzieży jest właśnie taka „świetlica" konieczne potrzebna. Międzyszkolny Ośrodek Prac Pozalekcyjnych w Jarosławiu dobrze spełnia postawione przed nim zadania. Przykładem i niezaprzeczalnym tego dowodem może być zakwitająca raz po raz artystycznymi osiągnięciami regularna praca poszczególnych sekcji zainteresowań, działających w ośrodku. Sekcji tych jest pięć: chóralna, taneczna, orkiestralna, plastyki i teatralno-recytatorska.

Codziennie, już od wczesnych godzin popołudniowych,

Zespół taneczny Międzyszkolnego Ośrodka Prac Pozalekcyjnych w Jarosławiu.

pomieszczenia ośrodka wypełniają się śpiewem, muzyką, recytacjami w zależności od „rozkładu jazdy" poszczególnych sekcji. W sumie sekcje skupiają około 300 młodych dziewcząt i chłopców. Nad rozwojem artystycznym uczęszczającej do ośrodka młodzieży czuwa fachowa kadra instruktorska: **Mieczysław Begiej** (sekcja chóralna), **Józef Homik** (sekcja orkiestralna), **Ryszard Ferenc** (sekcja taneczna), absolwent Akademii Sztuk Plastycznych w Krakowie — **Stanisław Lupa** (sekcja plastyczna), no i pełniący funkcję kierownika, znany na terenie województwa działacz oświatowy — **Zdzisław Trentowski,** w swej pracy instruktorskiej poświęcający się szczególnie sekcji teatralno-recytatorskiej.

Do największych osiągnięć artystycznych zespołów jarosławskiego ośrodka uczniów szkół zawodowych, a także uczniów Liceum Ogólnokształcącego, niewątpliwie należy wystawienie „Krakowiaków i górali" — Bogusławskiego, „Źródła pod gruszą" — Wolańskiego i „Studenckiej miłości" — Dychawicznego. Nie należy również zapominać o programach składanych („To idzie młodość", „Mieszanka firmowa"), w których udział brały zespoły taneczne, orkiestra i soliści.

Artyści-amatorzy Międzyszkolnego Ośrodka Prac Pozalekcyjnych z występami artystycznymi odwiedzili już dziesiątki miast, miasteczek i gromad województwa rzeszowskiego. Wyjeżdżali również do Krakowa, Rzeszowa, Warszawy, Lublina i in., gdzie na wielu eliminacjach zawsze plasowali się w czołówce. Ostatnio gościli także w Czechosłowacji.

Ale Międzyszkolny Ośrodek Prac Pozalekcyjnych w Jarosławiu to nie tylko wzorowa świetlica, w której młodzież ma możność kształcenia swych zainteresowań artystycznych. To również ośrodek metodyczno-instruktorski, udzielający porad i pomocy fachowej dla kadry instruktorskiej szkół zawodowych województwa rzeszowskiego. W jarosławskim ośrodku co pewien czas organizowane są seminaria i konsultacje, w czasie których instruktorzy kulturalno-oświatowi szkół zawodowych praktycznie, na przykładzie zajęć z poszczególnymi sekcjami ośrodka — uczą się pracy z młodzieżą.

Międzyszkolny Ośrodek Prac Pozalekcyjnych w Jarosławiu ma również swoje troski, trudności, kłopoty, złe warunki lokalowe, brak niektórych instrumentów, niedostateczna ilość butów dla zespołu tanecznego... Nie będziemy w tej chwili o tym mówić. Dyrekcja Okręgowa Szkolenia Zawodowego niewątpliwie przyjdzie z pomocą jarosławskiemu ośrodkowi. Powiemy jednak o czymś bardziej w tej chwili istotnym, aktualnym.

W bieżącym roku szkolnym Międzyszkolny Ośrodek Prac Pozalekcyjnych w Jarosławiu obchodzi 5-lecie swej działalności. Z tej to okazji, życząc dalszej owocnej pracy w zakresie upowszechnienia kultury, tę garść informacji poświęciliśmy jarosławskiemu ośrodkowi — prawdziwej wzorowej świetlicy.

JULIAN WOŹNIAK

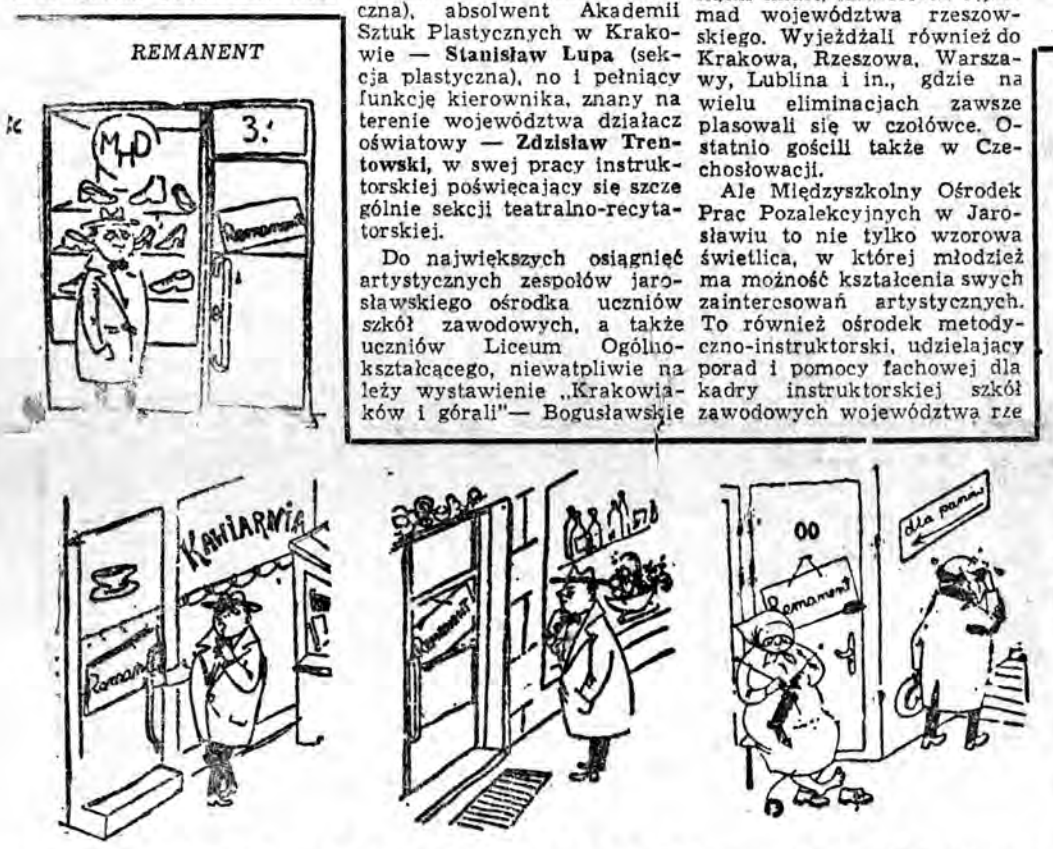

RECENZJA FILMOWA

Koniec nocy

MIAŁ pretensje do świata i ludzi. Pewnie czyhały na niego same smutki i dużo rozczarowań. Pewnie gdzieś u zarania młodości spotkał się z wielkim niezrozumieniem. Poszedł „w Polskę"...

...W ciasnym pokoiku ojciec snuł swoje okrutne opowieści o ciepłej bieliźnie, obozie, męce i zmęczeniu. Rozdygotane nerwy nie wytrzymały — także poszedł sobie...

...Samotnie borykająca się ze światem matka nie wiedziała co to uśmiech. A „Mały" pragnął radości życia i jasnych promyków. Policzek wymierzony ręką bliskiej osoby wypchnął go za drzwi domu...

Wszyscy trzej poszli „w Polskę", szukać pogodnych dni młodości, a zabrnęli w noc.

Film „Koniec nocy" jest debiutem studentów — PWSF w Łodzi. Młodzi twórcy wybrali na bohaterów grupę chłopców, nazywając nocą okres ich życia, spięty klamrą chuligaństwa, okres załamań, złego eksperymentu pod hasłem: a może życie bez hamulców moralnych będzie lepsze?

Film jest publicystyką. Poruszając nabrzmiały dziś problem chuligaństwa i moralności pewnej części młodzieży, próbuje dać wyjaśnienie dlaczego tak się dzieje. I trzeba przyznać, że daje realne sugestie, ani przejaskrawione, ani naciągane. Jest liryczno-brutalną opowieścią o losach nie tylko wspomnianej na początku trójki, ale wielu młodych, którzy z różnych powodów znaleźli się po drugiej stronie życia społecznego.

Próba analizy otoczenia chłopców, wydaje mi się, jest rzeczowa i co ważniejsze, prawdziwa. Sugerując, że dom stanowi o wychowaniu, młodzi twórcy jednocześnie przeciwstawiają się sami tej tezie, stawiając w poprzek drogi Filipa dziewczynę wychowywaną przez dwie kanalie, typowych drobnomieszczuchów, mimo to dziewczynę uczciwą, która nie zatraciła sensu życia i hartem woli pragnie wydrzeć swego chłopca z pijackiej meliny. Stawiając tezę o szkodliwym oddziaływaniu domu rodzinnego, autorzy „Końca nocy" nie głoszą autorytatywnie, że tylko tu bierze początek chuligaństwo, a raczej spokojnie wyjaśniają, że w takich warunkach może zakiełkować „idea" innego życia. W umiarze nagromadzenia faktów i wyjaśnień leży tajemnica powodzenia tego debiutu.

Wielu widzów skarży się na pesymizm filmu. Trudno położyć mi tutaj swój akcent. „Koniec nocy" uważam raczej za film opcy mistyczny, który, abstrahując nawet od tytułu, zawiera dużo nadziei. Natomiast niekolorowe, szare dni chłopców spędzone przy wódzie, kartach i w towarzystwie wulgarnych dziewcząt stwarzają jak najbardziej ponury, obsesyjny obraz nędznej wegetacji młodzieży. Tu trudno było przecież szafować optymizmem i taki pesymizm, zamierzony celowo, był konieczny. Nie znaczy to wcale, by wymowa filmu i założenia twórców szły w kierunku ukazania beznadziejności sytuacji.

By jednak publicystyka była wszechstronna, dogłębna, dokument zaś posiadał nieocenioną wartość, musi wskazywać drogę wyjścia. I chyba w tych partiach film jest najsłabszy. Nie daje rozwiązania. Jest, powiedziałabym, trochę moralizatorski; uznaje działalność milicji jako jedyny skuteczny środek do walki z chuligaństwem. Pełne dydaktyzmu mowy milicjantów, ich szorstka dobrotliwość jest trochę nie na miejscu w całokształcie mocnych, życiowych elementów, przeważających w tym niewątpliwie potrzebnym filmie.

K. S.

— 12 —

malować tak, aby żołnierze wiedzieli, jak wygląda prawdziwa rusznica.

R. — Obawiam się, kapitanie, że pod twoim wpływem strzelcy już nie zmądrzeją...

Kapitan — To skandal. Kompania za mną. Wychodzimy stąd.

R. — (po chwili) — Całe szczęście, że poszli. Gdy mnie ganią, wówczas dopiero wiem, że dobrze postępuję.

Lichwiarz I — Tylko kto, panie, będzie teraz długi płacił.

R. — A, jesteście, lichwiarze przeklęci. Chodzicie za mną jak cień.

Lichwiarz II — Jesteśmy, jesteśmy, bo już za długo zwlekasz, panie, z oddaniem nam naszych pieniędzy.

R. — Teraz nie mogą wam oddać. Żona moja chora... (po chwili) Usuń się, psie, bo mogę cię pomacać po pewnej części ciała, w której resztki sumienia nosisz.

Lichwiarz II — Jak nie oddasz, to do sądu cię oddamy.

Lichwiarz I — W więzieniu zgnijesz. Zgnieciemy cię, jak robaka, pamiętaj.

(powstaje zamieszanie)

Gospodyni Rembrandta — Czy jest tu mistrz Rembrandt? Ludzie, powiedźcie, gdzie się znajduje? Muszę go znaleźć...

Głosy — Jest tu... Co mogło się stać?

Rembrandt — Chodź tutaj. Mów prędzej, po co przyszłaś?

Gospodyni — Żona twoja, Saskia, umarła, panie...

SCENA IV

Hendrickie — Przestałbyś na chwilę pracować, Rembrandcie. Nie powinieneś się za bardzo męczyć.

Rembrandt — Nie chcesz powiedzieć, Hendrickie, że źle wyglądam. Ale to nie ze zmęczenia; jestem już stary. Włosy mam siwe... Co gorsza — wzrok mi się psuje...

Hendrickie — Wiesz, że nie lubię, kiedy tak mówisz. Tworzysz rzeczy wielkie, co jest najlepszym dowodem twojej młodości. Niepotrzebnie chcesz być nie-

— 13 —

szczęśliwy. To sprzeczne z naturą człowieka. Staraj się być pogodny.

R. — Nie mogę patrzeć, jak cierpisz przy mnie biedę. Widzę, że znowu przyrządzasz śledzie. Ser i śledzie to od dawna jedyne nasze pożywienie.

H. — Nie uskarżam się; posiłki nasze są zdrowe. Znam ludzi jeszcze biedniejszych. Jestem szczęśliwa z tobą, Rembrandcie. Co może być od tego ważniejsze?... Inne kobiety mogą mi zazdrościć...

R. — Tobie zawdzięczam, że maluję. Pragnę tylko, aby nasza córka Cornelia, była podobna do ciebie.

(pukanie do drzwi)

Głos — Czy tu mieszka Hendrickie Stoffels?

Hendrickie (otwierając drzwi) — To ja...

Głos — Proszę odebrać pismo...

H. — Kto was przysłał?

Głos — Wszystko jest napisane... (zamknięcie drzwi)

R. — Pokaż mi to pismo.

H. — Na pewno nic ważnego...

R. — Daj mi, muszę przeczytać... (szelest papieru, po chwili). To jest pismo rady kościelnej, wzywające ciebie znowu przed konsystorz... „pod zarzutem nieobyczajnego pożycia z malarzem Rembrandtem". A cóż to za nędznicy!

H. — Dziwi mnie, że się tym przejmujesz. Wiesz przecież, jak mi to jest obojętne. Już dwa razy przysyłali.

R. — Nie pójdziesz tam nigdy...

H. — Właśnie, że mam ochotę pójść i wyznać winę, żeby mnie surowo ukarali; do stołu pańskiego więcej nie dopuścili... Jeżeli jestem wobec nich taka grzeszna?!...

R. — O, gdybym mógł cokolwiek sprzedać... Gdybyśmy mieli trochę pieniędzy, by wziąć ślub, albo zapłacić, żeby takich pism więcej nie przysyłali. A tak — nie wiem co począć?!...

H. — Czy to by coś w naszym życiu zmieniło?... Wydalibyśmy te pieniądze na darmo... Mała szkoda, że ich nie posiadamy...

R. — (z nagłą żywością) — Zdecydowałem się sprzedać ten obraz, jeżeli tylko ktoś go kupi.

— 14 —

H. — Nigdy się na to nie zgodę. To jedyny obraz, który ci pozostał. Wiem, że jesteś do niego bardzo przywiązany.

R. — Miał być dla Van Dycka, ale się po niego nie zgłosił. Myślę, że znajdę kupca. Dawniej nieraz pytano mnie, czy tego obrazu nie sprzedaję.

H. — Nie chcę o tym nawet słyszeć, Rembrandcie. Oświetlenie w tym obrazie jest — jakby ktoś lampę postawił, jakby promień słońca rzucił — tak świecą jasne miejsca, gdy tymczasem ciemne giną, roztapiając się w głębokich, miękkich cieniach.

R. — To był początek mojej drogi. Szedłem nią całe życie... Teraz maluję już tylko chłodne światło dzienne.

H. — Takie światło, jakie wpada na nasze poddasze.

R. — Maluję starców w łachmanach.

H. — Tworzysz portrety mojej matki i naszych sąsiadów. Powinni to być ludzie dla nas drożsi od wszystkich książąt i królów.

R. — Van Dyckowi, który malował tylko znamienite osoby — dał schronienie przed śmiercią król angielski. Moje kości spoczną chyba we wspólnym dole dla nędzarzy.

H. — Myślę, że lepiej jest umrzeć w biedzie buchając płomieniami, aniżeli żyć nawet dostatnio, kopcąc dymem. Zresztą ja nie wiem, co to jest dostatek; przecież nigdy niczego nie miałam.

R. — Widać los malarzy jest taki sam, jak los ludu tej ziemi. Frans Hals też zaczął śmiało i dumnie, koniec jego jest teraz bardzo smutny. Coraz trudniej jest walczyć o prawdziwą sztukę, coraz bardziej mrocznо...

H. — Z naszego okienka wzrok może biec po niezmierzonych przestworzach, może śledzić grę obłoków na sklepieniu niebios...

Kiedy Rembrandt w jakiś czas potem umarł — obrazu przedstawiającego kuźnię też już nie było w jego domu, ponieważ w protokole wyraźnie napisano: „Krom narzędzi malarskich i kilku starych sukien niczego nie zostawił". Obraz ten musiał przejść różne koleje, zanim został obecnie odnaleziony.

ANEGDOTY

ROZMYŚLANIA

Tak, na pianistę to się trzeba urodzić, bo jak się człowiek nie urodzi, to nie może zostać pianistą.

CHOROBA

Do lekarza chorób nerwowych przychodzi Kowalski.

— Proszę panie Kowalski, niech pan siada. No jakże tam z pańskim spaniem. Liczył pan przed zaśnięciem jak panu radziłem?

— Tak, panie doktorze. Doliczyłem do 18.456.

— No i zasnął pan?

— Skąd? Musiałem przecież iść do biura.

NIE WILK

Nauczyciel objaśnia małemu Jasiowi znacznie bajek:

— Widzisz, gdyby jagnię było grzeczne, to wilk by go nie zjadł.

— Tak — powiada Jaś — to my byśmy go zjedli.

DZISIEJSZE CZASY

Dwóch starszych panów rozmawia.

— Tak panie inne czasy bywały. Młodzież starszych czciła otaczała. Nie tak jak dziś.

— No, co pan narzeka. Chociażby teraz w tramwaju miał pan dowód grzeczności, jak panu miejsca ustąpili.

— No to co z tego! Ale żona cały czas stała.

Oto strój z jersey'u na „po-nartach" nazwany „Kalou" — kreacja paryskiego Domu Mody Vincent Mehnert, w kolorach jasno-niebieskim i czarnym.

CAF

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

ZIMA

Po dzwoneczkach sań poznasz zimę:
sypie w szyby wiatr, dźwięczy u okien
i świerk w czapie wysokiej
pod śniegiem schował igliwie.
Twarde jest serce zimy:
w korę drzew, w grudkę ziemi puka dzięcioł i kruk
i pośmieciuszka, siadłszy u skraju dróg,
zbiera co dzień strząśnięte ziarenka olszyny.
Strumienie górskie podobne dźwięczącej rynnie:
jak w kotliku mruczy w nich woda —
i wpada w ten bełt i szum krótka zimowa pogoda,
o jodłowe zboże trąci niski obłok i minie.
Górskie wąwozy niosą spokój i wytchnienie —
a powietrze rzeźwe i czyste jak lodu szybka.
Ściana leśna jodłowa i gibka
iskrzy z dala śniegowym lśnieniem.
Tu człowiek, śląskie opuściwszy dymy,
węglowy pył — lub miejski gwar,
przed sobą śnieżną przestrzeń tylko ma
i górski szczyt i wąwóz siny.
Wytchnienie oczom,
płucom oddech szeroki —
kwitnienie dali, wiatr modrooki
i przelotny nad turnią obłok.
Przyjacielu! Ze zboczy, z ośnieżonych drożyn i lasów,
z dróg zawianych, które niesie górska zima,
pozdrowienie ślę, list — a w liście tym otrzymasz
z gałązką wonnej jodły zachwyt najpiękniejszych wczasów.

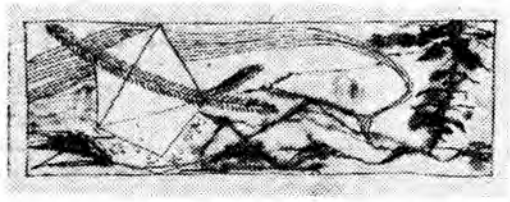

Słowniczek Literacki

(d. c.)

METATEZA -to przestawienie słów w zdaniu lub liter w słowie. Raz w pewnym poczytnym piśmie przed wojną ukazał się artykuł o wybitnym mężu stanu z taką metatezą spowodowaną przez „diablika drukarskiego", że zamiast określenia, iż polityk ten jest „dyskretny", widniało wydrukowane, iż jest on „dyskretym".

METONIMIA to pospolita figura poetycka, a nawet często w języku potocznym, polegająca na podstawieniu zbliżonego rzeczowo określenia w miejsce właściwego — np. „pola szumią" zamiast „zboże na polach szumi poruszane przez wiatr". „Czytam Żeromskiego" — zamiast „czytam powieść Żeromskiego.

METRYKA jest nie tylko świadectwem urodzenia się, chrztu czy zaślubin, lecz również oznacza naukę o formach rytmu w poezji.

N.N. — często widywane w miejscu imienia i nazwiska albo jako podpis — w dawniejszych, romantycznych wierszach — w tytule („Do N.N.") jest skrótem z łacińskiego „nomen nescio", tzn. nie znać imienia.

•AFORYZMY•

Każde piękno przynależy swej epoce

• • •

Prawdziwi artyści istnieją tylko w tym, co stworzyli: Jako ludzie wskutek tego bywają absolutnie nieciekawi.

• • •

Czasem zapytania przechodzą nawet po odpowiedzi i to bardzo, bardzo późno...

• • •

Jeżeli książka jakaś nie jest możliwą do przeczytania po raz drugi i setny, to nie zasługuje nawet, aby ją raz czytano.

• • •

Kochając, mami się naprzód siebie, po tym innych.

• • •

Kto mówi o drugich jest przeważnie nudnym. Kto mówi o sobie, jest prawie zawsze interesującym. Gdyby zaś takiego można jak książkę w odpowiedniej chwili zamknąć, byłby wprost nieocenionym.

OSKAR WILDE

Wznawiamy „Kącik filatelistyczny"

Zjazd filatelistów woj. rzeszowskiego, który odbył się dnia 24 listopada 1957 r. obradował pod hasłem: „Filatelistyka sprzymierzeńcem nauczyciela". Według prowizorycznych obliczeń kilkanaście tysięcy młodych chłopców i dziewcząt w naszym województwie zajmuje się zbieraniem znaczków pocztowych. Ogniwa terenowe PZF współpracując z nauczycielstwem będą w roku bieżącym organizować kółka młodych miłośników filatelistyki.

Młodzież najchętniej kolekcjonuje zbiory tematyczne, ułatwiające naukę takich przedmiotów jak historia, geografia, przyroda, język polski itp. Największą popularnością wśród młodzieży cieszą się znaczki obrazkowe z motywami fauny i flory.

J. KRYWIAK

KONKURS noworoczny

Tradycyjny nasz konkurs noworoczny nie sprawi tym razem Czytelnikom żadnych trudności, bo obowiązkiem jego uczestników będzie jedynie podanie, które z zagadek w 15 kolejnych kącikach „Nie trudno zgadnąć" od Nr 33 (377) Nowin Tygodnia począwszy uważają za najlepsze. Podawać można 1—3 zagadek tak spośród nadesłanych, jak i redakcyjnych. Aby w konkursie mogły uczestniczyć również osoby, które „nie lubią wiele pisać" — załączanie do konkursowej oceny rozwiązań zagadek **nie jest obowiązujące**. Ostateczny termin nadsyłania ocen zostanie podany później.

Między Czytelników, których głosy padną zgodnie na zagadki wyróżnione przez większość, zostaną rozlosowane trzy nagrody w postaci bonów książkowych o wartości: I. — 100 zł, II. — 60 zł, III. — 40 zł. Autorzy wyróżnionych zagadek otrzymają podobne 2 nagrody wartości 60 i 40 zł.

Ponadto Czytelnik — szaradzista, który ze wspomnianych piętnastu kącików (od Nr 33 (377) z dnia 31. VIII. 1957 r. począwszy) nadeśle najwięcej trafnych rozwiązań, otrzyma (ewentualnie w drodze losowania) specjalną nagrodę wartości 50 zł.

A więc do pracy Czytelnicy — nagrody czekają, a z nimi i Redakcja Działu, która rada by wiedzieć, jakie są upodobania amatorów zagadek i czy je słusznie oceniają.

Tekst konkursu radzimy wyciąć i przechować do jego zakończenia.

LUDZIE I ZDARZENIA PRZESZŁOŚCI

OSTATNIA MATRONA POLSKA

Tak nazwał jeden z autorów Katarzynę z Potockich Kossakowską, najsławniejszą chyba w Galicji kobietę w XVIII w. Rozgłos swój zawdzięczała ona niezwykle ostremu językowi, pieniactwu oraz gwałtownie manifestowanej nienawiści wobec króla Stanisława Augusta. Ponieważ Kossakowska przez pewien czas mieszkała w Przemyskiem, a w stolicy tej ziemi prowadziła swe niezliczone procesy, stąd uważana była przez przemyślan za krajankę.

Na wieść o wyborze Poniatowskiego, Kossakowska oświadczyła uroczyście: „Ja na tego króla patrzeć w życiu nie będę, chyba wtenczas, kiedy by mi Pan Bóg tam dał oczy, gdzie rakowi". Ulubiona jej maksyma, powtarzana wielokrotnie sprowadzała się do następującej opinii: „Polska bartogiem stoi, nie dziwnego, bo ma cielę na tronie (Poniatowscy byli herbu Ciołek — przyp. mój). Wyrzućcie cielę, a bartogu nie będzie". W tej nienawiści do króla wytrwała matrona galicyjska przez 40 lat. Dopiero w 1791 r., po Konstytucji majowej, Kossakowska pogodziła się ze Stanisławem Augustem.

Chociaż w stosunku do państw zaborczych wykazywała postawę wybitnie konkurencyjną, a w 1773 r. pierwsza złożyła hołd wiernopoddańczy nowym władzom, mimo to umiała Kossakowska być złośliwą wobec ludzi, którzy jej zdaniem uchybili imieniu Polaka. Gdy w 1787 roku właściciel Bakończyc koło Przemyśla — Cetner, zrzekł się godności wojewody bełzkiego, nasza weredyczka rzekła głośno: „Uczciwszy uszy, był tu kiedyś Cetnar, teraz i funia nie waży"...

JACHSZARONI

HUMOR ZAGRANICZNY

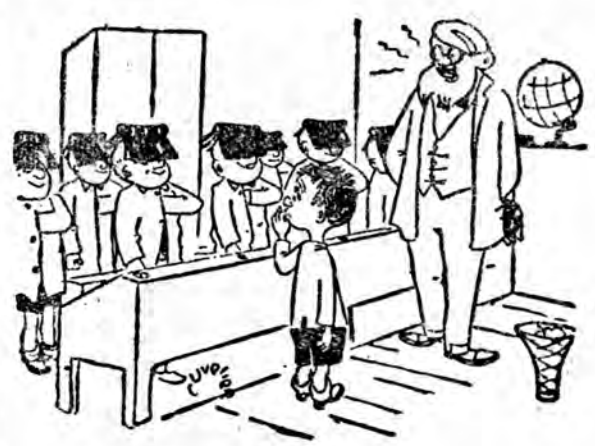

— No mówże, do licha, kto przegrał tę bitwę pod Waterloo?

Bez słów

— Kiedy mi powiedziałaś, że masz pokój z oddzielnym wejściem, wyobraziłem to sobie inaczej...

NIE TRUDNO ZGADNĄĆ

KRZYŻÓWKA

(nadesłała Janina Sobkiewicz z Przemyśla)

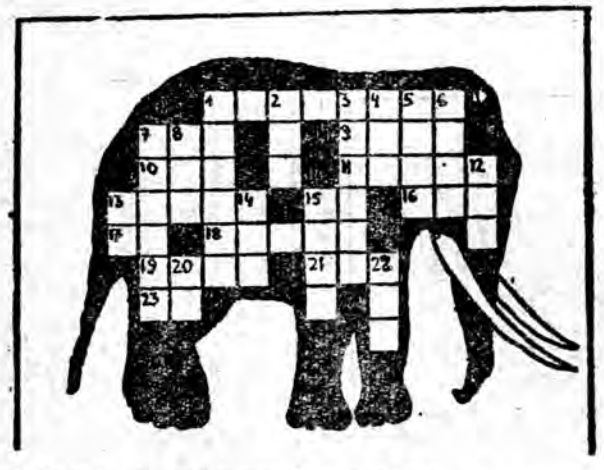

POZIOMO: 1. rewolucyjna zapora uliczna, 7. tytuł turecki, 9. napój wyskokowy, 10. zamęt, 11. tytułowa postać jednej z powieści Orzeszkowej, 13. moneta, 15. skrót jednej z partii rewolucyjnych, 16. wół tybetański, 17. złoto (jęz. franc.), 18. dawne krzesła ozdobne, 19. ptak czczony w Egipcie, 21. „... człowiek!", 23. miara powierzchni.

PIONOWO: 1. tymczasowe budynki, 2. „nos" pewnego zwierzęcia domowego, 3. towarzysz, 4. papuga, 5. prezenty, 6. papiery kanc., 7. uszkodzenie okrętu lub samolotu, 8. ptaszek 12. część utworu scenicznego, 13. zaimek wskaz., 14. gubernator abisyński, 15. masz go przed sobą, 20. symbol bromu, 22. kąśliwy owad.

ZAGADKA GEOMETRYCZNA

(według pomysłu Janiny Sobkiewicz)

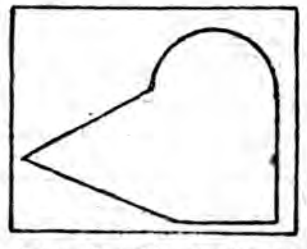

Jakie elementy zawiera rysunek objęty ramką? — Wymienienie największej ich ilości uprawnia do otrzymania trzeciej nagrody bez losowania.

Za trafne rozwiązanie przynajmniej jednej z tych zagadek przesłane do 14 dni pod adresem: Oddział Redakcji „Nowin Rzeszowskich" w Przemyślu, ul. Waryńskiego 15 — „Rozrywki Umysłowe", przeznaczone są do rozlosowania trzy nagrody w postaci bonów książkowych.

Wyjaśnienie — Autorem KRZYŻÓWKI z Nr 47 (391) jest Stanisław Wołowiec z Jarosławia.

NIECZYNNY

REMANENT